

Był środek lata. Mimo upału rozpuszczającego mózg starówka tonęła w powodzi brzęczącego tłumu turystów. Wilgotne od potu masy pochłaniały niezliczone ilości lodów i zimnego, spienionego piwa. Turyści zawładnęli każdym, nawet najmniejszym skrawkiem zacienionej przestrzeni. Podpierali ściany starych kamienic, sapali i szczerzyli zęby do pamiątkowych fotografii. Ulica Szeroka, wbrew swojej nazwie, jakby skurczyła się pod wpływem gorąca. Opanowana przez sprzedawców pamiątek, ulicznych grajków i wycieczki żądne wrażeń, stała się nieprzyjazna dla każdego, kto miał tu do załatwienia jakiś interes.

Poirytowana Ada co chwilę potykała się i o kogoś ocierała. Od ciągłego przeproszania zaschło jej w gardle. Sukienka, którą przed wyjściem starannie wyprasowała, zaczęła przyklejać się do pleców. Kosmyki czerwonych włosów wymknęły się spod opaski i nieproszone wpadały do oczu. Skręcając w Mostową, zerknęła w witrynę sklepową i cicho zaklęła. Nienawidziła tak wyglądać, nienawidziła tak się czuć. Latem wychodziła tylko po zmroku. Gdyby nie namowy Marty, nigdy by tu nie przyszła. Po co dała się w to wciągnąć?

Przystanęła w bocznej uliczce. Rozprostowała kartkę, którą cały czas trzymała w dłoni. Wyblakły tusz i rozmoczony papier sprawiły, że adres zamienił się w niewyraźną plamę, ale po wytężeniu pamięci i wzroku nabrała pewności, że dotarła do celu. Poprawiła włosy i wygładziła sukienkę. Kiedy stanęła przed wejściem, zawahała się. A może skoczyć do kina? Tam przynajmniej była klimatyzacja. Westchnęła, mijając plakat ze skośnooką zmorą. Maraton z azjatyckimi horrorami kuśił. Musiała być jednak twarda, to nie był czas na przyjemności.

Kamienica, której szukała, wyglądała jakby miała się lada moment przewrócić. Nagie cegły, krzywe okna i pokruszone dachówki polujące na nieuważnego przechodnia.

— To idiotyczne. Niech to już mam za sobą — powiedziała do siebie i weszła do środka.

Kiedy zaczęła wspinać się po schodach, na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka. Przez niewielkie, gęsto upstrzone przez muchy okno wpadała tylko blada smużka światła i głaskała liść rachitycznej paprotki, którą ktoś wyjątkowo uwięził w pękniętej doniczce.

Dwuskrzydłowe drzwi z mosiężną klamką nie pasowały do ciasnej i ciemnej klatki. Nie było na nich żadnej tabliczki z nazwiskiem, tylko numer mieszkania.

Zadzwoniła.

Najpierw usłyszała głucho uderzenie, potem stłumione przekleństwo. Nie zdążyła pomyśleć, czy aby się nie wycofać, gdy stanął przed nią mężczyzna. Wielki jak góra, szeroki jak szafa, z wypolerowaną łysiną i wąsami godnymi przywódcy motocyklowego gangu z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Wzrok Ady przesunął się dwa razy po tym indywiduum, nim wydusiła:

— Przepraszam, chyba się pomyliłam. Nie wiesz... yhy... nie wie pan, gdzie jest gabinet wróżki Elwiry?

Poczuła się głupio, zadając to pytanie.

— Dobrze pani trafiła, zapraszam.

Zdawało się, że nie zauważył jej zmieszania. Po prostu cofnął się o krok, otworzył szerzej drzwi i gestem zaprosił do środka. Czy nie powinna uciec? Odczuła nagłą chęć runięcia w dół byle jak najszybciej znaleźć się na ulicy pełnej ludzi. W myślach jednak zobaczyła triumfującą minę Marty i to ją zastopowało. Nie da jej tej satysfakcji! Wyzywając przyjaciółkę od najgorszych, przekroczyła próg mieszkania i stanęła w wąskim i długim przedpokoju.

— Czy była pani umówiona?

— Tak, przyjaciółka...

— A tak, pamiętam. Pani Marta o pani wspominała — spojrzał na jej czerwone włosy. — Dobrze kojarzę, prawda? Proszę wejść. Może coś chłodnego do picia? — zaproponował zadziwiająco delikatnym, niemal kobiecym głosem.

— Poproszę.

Zniknął, pozostawiając ją oszołomioną w przytłaczająco jasnym pokoju. Nigdy wcześniej nie była u wróżki, ale to wszystko tutaj w żaden sposób nie przystawało do wyobrażeń Ady. Po pierwsze, według niej, wróżka powinna być kobietą, chociaż to zakrawało na dyskryminację. No dobrze, niech będzie facet, ale gdzie kot, szklana kula i atmosfera pełna tajemnicy i skupienia?

Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Drewniany, okrągły stolik z koronkową serwetą, na ścianie tapeta w kwieciste szlaczki, obraz Matki Boskiej ze świecącą aureolą, na półce kilka zniszczonych romansów w cukierkowych okładkach, a pod stopami wytarty dywan. Podeszła do okna i odetchnęła głęboko. Gorące powietrze tylko podrażniło gardło. Zamarzyła o oczyszczającej burzy. Obiecała sobie, że po tym wszystkim pójdzie nad Wisłę, na szklankę soku jabłkowego.

— Zapraszam tutaj!!

Falset z głębi mieszkania sprowadził ją na ziemię.

Bez trudu trafiła do większego pokoju. Ciężkie zasłony i północna strona chroniły wnętrze przed upałem. Było przyjemnie chłodno, a Ada bez zachęty sięgnęła po szklankę ozdobioną plasterkiem cytryny. Zabrzęczał lód. Dopiero po orzeźwiającym pierwszym łyku ponownie spojrzała na mężczyznę. Spraną koszulkę z nadrukiem „Iron Maiden” zastąpił indyjską tuniką, a łysinę przykrył olbrzymim turbanem, skręconym z tego samego, zgniłozielonego materiału co zasłony.

— Piękne kolczyki — wyrwało się jej na widok olbrzymich pereł z Jablonexu.

— Och..., dziękuję, proszę usiąść.

Palcami musnął ozdobę i zarumienił się, potem wskazał sofę pokrytą aksamitną kapą.

— Hmm, czy jest pan... asystentem wróżki Elwiry?

Nie mogła się powstrzymać.

— Pani Marta nie uprzedziła? To ja jestem wróżką Elwirą.

— Aaaaahaaaaaa....

— A teraz proszę oddać mi szklankę i zrelaksować się.

— To będzie trudne.

— Ależ nie, bierzemy głęboki oddech, pani Ado, zgadza się?

— Tak, Ada jestem, miło mi.

Wyciągnęła rękę, na którą jedynie syknął i zmarszczył krzaczaste brwi. Nie pozostało jej nic innego jak się skupić.

Siedział naprzeciwko z zamkniętymi oczami, a ona nie mogła oderwać wzroku od uśmiechających się długich, czarnych włosów w jego nosie. W dodatku irytująco głośno tykał gdzieś zegar, a zza okna dobiegał płacz dziecka i szczekanie psa.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale ile będzie kosztowała ta wizyta? — zapytała, wytrącając wróżbiarza z równowagi.

Poczerwieniał i wysapał:

— 50 zł, jeśli wszystko pójdzie gładko, to znaczy jeśli przekaz kart będzie jasny. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania? Wolałbym przejść do rzeczy.

— Proszę mówić mi Ada. Tak właściwie to nie jestem pewna, czy potrzebuję pana pomocy. Gdzie się pan uczył wróżenia?

— To dar. Odziedziczyłem go po mamie. U nas to rodzinne.

— Oooo, a to ciekawe. A tata też miał ten dar?

— Nie, tylko mama. Po niej przejąłem ten interes i stałych klientów. Bardzo proszę się zdecydować: rozkładamy karty czy nie?

— Marta mówiła coś o kuli — zaczęła podejrzliwie, ale na widok drgających wąsów spokorniała.

Między nią a wróżką Elwirą stał niski, indyjski stolik, którego blat podtrzymywał słoń. Nie mogąc się oprzeć, jednym okiem przyglądała się zdobieniom na nogach rzeźby. Do momentu gdy zaterkotała talia kart. Przed nosem Ady pojawił się wachlarz.

— Proszę wybrać trzy dowolne.

Bez sprzeciwu wskazała palcem na przypadkowe karty. Wyjął je i odłożył na bok, potem zrobił kilka krupierskich sztuczek, na widok których wyrwało się Adzie jedno wielkie:

— Ło!

Jej zachwyt skwitował prychnięciem. Pstryknął palcami i zaczął mówić.

— Masz ogromny problem. Twoje życie wisi na włosku. W wyniku niezbyt sprzyjającego układu planet masz cholernego pecha. Ostatnio spotkał cię cały ciąg nieszczęść. Widzę też stratę przedmiotu, do którego byłaś bardzo przywiązana.

Przełknęła ślinę na wspomnienie skradzionego w zeszłym tygodniu ślicznego, holenderskiego roweru w kolorze śliwkowym.

— Wyrzucono cię z pracy albo zdegradowano, przeniesiono na gorsze stanowisko lub coś w ten deseń.

Zrobiło się jej wstyd, bo za zawaloną transakcję mogła winić tylko siebie. To było nieprofesjonalne, ale co się dziwić, skoro ostatnio nawet najprostsze decyzje stawały się dla niej problemem nie do pokonania.

— I w ostatnim czasie zakończyłaś długoletni związek. To akurat było najlepsze, co mogło ci się przytrafić.